

Gołębiowski, Stefan

Wielkie oczy, "Tygodnik Kulturalny" XII
44 (598), 3 XI 1968, s. 5 : [przedruk]

Biezuńskie Zeszyty Historyczne 25, 7-12

2011

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

WIELKIE OCZY

„Tygodnik Kulturalny”, XII 44 (598), 3 XI 1968, s. 5

Zielone, szare, bure. Nie wiem doprawdy, jakimi są oczy kocie, kiedy patrzą w noc pustą. Nazwijmy ją w porównaniu do wielkiej małą.

Niebo miotłami wierzb wymiecione z gwiazd. Chmury przez jesień, mimo stałych udojów, coraz bardziej ciężą ku ziemi. Ulica schlastana błotem ginie w rozbitych lustrach kałuż.

Okna ślepe, wcześniej snem zmożone, toną w mroku. Z frontowych oczy kocie umknęły. Widać je przez szkła zamglone od tyłu, gdzie stopniowo półmrok przechodzi w mruczenie. Na kotlinie w kłębek zwinięty kot. Rudy, podpalony.

Drzwiczki otwarte świecą ogniem. Postacie spowite dymem na pół realne wydłużyły cienie, deformują kształty. Kaganek wątlym płomykiem je ożywia. Na ścianie tłoczą się i każdy ruch wywołuje zamieszanie, a przecież izba nie tak mała i osób nie tak wiele.

Pod oknem Cigiędź wkleśnięty w skórzany stołek angustem pucuje but, żeby świecił jak warsiaski. U końca nosa kapka drży migotliwa. Pobok na ławie, z której zdjęto wiadra, Kacior błyszczy butami, jakby nigdy od szewca nie wychodził, Znaj pana po cholewach, mógłby rzec do Truśki, którego chodaki nie mają śmiałości wyjść na widok i tylko wyszczerzonymi kłami bronią się przed ujawnieniem. Na wyrku, jakby kto miarę stracił, Panietygo w butach juchtowych ostruganych przez wióry, zwyczajnie jak u cieśli. W samym kącie na zydelku Łubek w kamaszkach z gumami, świętobliwych, bo je od kanonika dostał, żeby miał w czym masierować do nieba.

Gospodyni, kobiecina mała, zahukana, nogi ukryła w długiej kiecce. Na pieńku usadowiona lata sukmanek, co świeci dziurami.

Przy wyjściu pod ścianą od większych do mniejszych korki. Odpoczywają sfatygowane codzienną bieganiną siurków, których po kartoflanych plackach na oleju sen łatwo uspokoił.

Na brak starych kapci nikt nie zwrócił uwagi. Spoczywały dobrze wysłużone pod łóżkiem w izbie mrocznej przez sionkę. Bez towarzysztwa jednak nie mogły wytrzymać. Wiatr je wypłoszył. Kręcił się po omacku, szukał przez szpary wyjścia. Wreszcie stracił cierpliwość i trzepnął drzwiami, że aż się drugie otworzyły.

Kot łapy poderwał, zjeżył rudą sierść, podniósł ogon do góry i zaświecił płomykami ślepi, jakby szczura zwęszył.

Tymczasem na progu pojawił się chudzielec, skóra i kości. Postać na pół rozebrana w płachcie, na szczęście bez kosy.

— Wszelki duch Pana Boga chwali — wśród martwej ciszy głos podniósł Łubek i aż się przeżegnał po bożemu.

— Szydło, mydło, dratew, pak — przeżegnał się szewc na wspak — tego brakowało, wyglądacie, dziadku, jakbyście szli na ostatnich nogach.

Chciał staremu pomóc, ale ten dłońmi wsparty na ceglach od kuchni sam o własnych siłach dowlókl gnaty do wnęki, która była w ścianie przy kotlinie. Kiedy usiadł na przymurku i nogi oparł na stołeczku podsuniętym przez szewcową, wyglądał jak umarłak w niszy. Jedynie sapanie i zardzewiały głos świadczyły, że reszta życia w nim się kołata.

— Strachy łążą i strachy mię z pustej izby wygoniły. Nie ma do kogo gęby otworzyć, a ze śmiercią trudno gadać. Już jej nie zmożę. Wolę z wami pogadać, chłopaki.

Ładne mi chłopaki, półsetką kopnięte w zadek, do kaciora.

— A może, sąsiadeczku, zafajczymy, panietygo.

— Gdzie ta — machnął ręką — i tak z dychawicą urwanie głowy.

— Łachaniaka dziś była kolej. Miał szczęście, poszedł na stary cmentarz. Zawsze stary, to stary, ziemia lepiej skropiona i bardziej ludzka. Jak byłem jeszcze chłopakiem, to już wiedziałem, kto na kim leży.

— Chłop na babie czy baba na chłopie — pił Kacior do osoby duchownej. Łubek zgorzony podniósł oczy w górę, jakby chciał powiedzieć: i czemu nie grzmisz. Lecz pora była nie po temu.

— Cichajta, zbereźniki. Z umarłymi nie da rady. Siurkiem pamiętam na podobę takuśką samą noc i dziarskich chłopaków, ździebko młodszych od was, a i dziewuchy galante. Chłopaki dawaj się przechwalać. Wojtek pada, że rzykę gotów zgruntować, gdzie trzy dna, Jasek, że wlizie na dach i sygnaturce język podwiąże tak, że ruchać się nie będzie.

— Żeby mu ozór skołowaciał, na msze pewnie bestyja nie chodził — ze zgorzenia nawet kamasz zaskrzypiał.

Pamiętam od ojca, że na starym ciasnym cmentarzu co dwadzieścia lat chowano nieboszczyków od nowa. W głębi podobno stała kostnica, taka dawna kapliczka drewniana. Nie wiadomo, kto ją postawił,

nie wiadomo, kto okradł. Może jaki gorliwiec muzealny, zbieracz świątków i świętych pańskich. Dosyć na tym, że ogołocona dłuższy czas świeciła pustką. Dopiero, kiedy pod kościołem tyle się kości z grobów nagromadziło, że zabrakło miejsca dla kolatorów, proboszcz na serio pomyślał o kapliczce. Odtąd czaszki, piszczele i w ogóle szczątki wykopane lub wydobyte z sosnowych trumien przegniłych zaczęto składać do kapliczkowej pustki. W ten sposób powstała kostnica.

— Tumek pada, wicie, ja mam lepszą rezykę. Do umerlaków pódę na grzebalny i trupią główkę przyniesę. Ej, nie udawaj ojra. Jak cię jeszcze w oczy zamaluje, to dopiero sądny dzień obaczysz, Antek sumitował. Pódę. Nie póndziesz. Dziewuchy w krzyk. Tumek wzium na ambit i przybili zakład o rubla. Strachy na lachy, co mi kto zrobi, frajerzy, wydziwiiał.

— Do kacióra, ja też miałem za swoje przez ten grzebalny, co jest w pół drogi między miastem i wsią. Pod Zaduszki zbałamucilem. Też były chłopaki, dziewczuchy i szły gadki o strachach. Szło już pod północ, jak się wyrwałem z czeladnej. Gwiazd na niebie bez liku. Migotały jak szabasowe. Idę w stronę cmentarza pod górkę, a tu coraz więcej gwiazdek na ziemi, jakby ich było za mało na niebie. Jarzą się niby dusze pokutujące. Za dnia jakby się kryły. Szedłem lewym półdrożkiem, ale przez te światelka sam nie wiem, jak zboczyłem. Duchy zaczynają mrugać, żebym szedł do nich. A ja już prawie na drugim półdrożku. Już nie idę, ale z głową do cmentarza zwróconą, żeby mię który nie zamalował, coraz kroku przyspieszam. Wtem ktoś pałą dzielił mnie w łeb. Tysiące gwiazdek błysnęło mi w oczach. Były to po niebieskich i ziemskich trzecie, moje własne. Jak nie dam chodu, jakbym nowy dech złapał, chyba nigdy w życiu nie byłem tak chwatki. Na drugi dzień z guzem jak szyszka chciałem pokazać chłopakom, w którym miejscu dzielił mię duch piekielnik. Najadłem się wstydu. Dobrze, że naiwniaków zbujałem. Nie skapnęli się, że to był słup pod telegraf. Tak to ci strach do mnie zatelegrafował, jakbym był jakim pocztowcem.

— Ja tam złego nie chcę wywoływać, wolę siedzieć cicho jak truśka, bo kto wie, gdzie raki zimują.

— Co prawda, to prawda, jakby w to trzecie dno wpadły. Dalej tak pondzie, a ryby też pódą zimować, gdzie raki. Zostanie ino kopyto. A zakładać się, nie warto. Kuń mundry sam do wozu tyż się nie założy.

— Jak raz, panietygo, i ja poszłem w zakład przez moją babę, kiedy była jeszcze panną. Chodziłem do ni prawie dwa roki i nic z tygo. A tu w sam raz zjawił się kawaler miastowy, cwaniak, co się zowie, panietygo. Dwa tygodnie ledwie chodził do mojej upatrzonej, a już myślał o rajbach. Niech go wciorności. Założę się o 10 rubli, że się nie oświadczysz, powiedam panietygo. A ten, chocia noc nikej dziś, już gotów jak w dym. Widzę, nie da rady, żartów ni ma. Łeb i całego siebie nakryłem płachtą siwną i wlałem do sionki z kosą w garści. Jak on klamką ruszył i drzwi uchylił, ja buch do niego. Frajer wziun nogi za pas i dał drapaka. Dogadałem się z nim. Dawaj twoje ruble, powieda, panietygo. Ryzyk fizyk, diabli wiedzą, może duch, może nie, z kosą ni ma żartów. Pannie też lepiej przypadłem do gustu, że zostałem na placu. Zresztą gra nie była warta świeczki, chocia niczego sobie kobita, panietygo.

Stary w swojej niszy rozgrzany ciepłem, mimo że ogień prawie już wygasł, jakby się krzyneń zdrzemnął, bo zaczął od słów końcowych. Widocznie siebie z kim innym pomylił.

— Gra nie była warta świczki. Strach strachowi tyż nie równy. Capnął Tumek furazierkę i pognał w noc jak wichler. Antkowi rubla żal. Dostał go od stryjca z Hameryki i na taką utratę. Wypadł, jak stał z голуską głową, bez pomyślunku. Noc, ćma okrutna, że oko wykol. Nie wiada, jak dopadli do kostnicy, ale pono tak było. Tumek zaczął grzebać w gnatach. E, piszczel, ziobra, smyrga na bok. Poczul wręście coś krunglejszego. Jest, galanta. Bierze ją pod pachę, a tu spod ściany głos żałośliwy: MOJA. O wydłużył, jakby zza grobu wołał: moooja. Tumek niewiele myślący rzucił ją na stronę, w kunt i drugiej szuka. Szuka oburącz, a ona wpadła mu pod nogi. Podniósł i już ma się ku wyjściu, kiedy znów spod ściany, ino ciut ciut wyży, słyszy: MOJA. Tym razem nie o, lecz a wydłużyło się w chrapliwym wydechu: mojjaaa. Zwilgła łapą, może ze strachu, jeszcze raz w kunt pacnął, aż zagruczotało w gnatach. Po omacku grzebie i raptem trafia na łeb wielgaśny, jak kubał. Nie lada musiał to być chłop, kej taki łeb nosił. Chciał już z nim wybiec, gdy po raz trzeci usłyszał: MOJA. Jakby ktoś o i a wyciungal coraz żałośniej zza grobu: mooojaaa. Tumek skumpinował, że to wołanie zawdy słyhać od jednej w górze ściany. Więc jak łbem nie zakoluje w powietrzu i jak nie wrzaśnie: TO MASZ. Gruchnęło i coś trzasło. Wiatr się wdarł i zachichotał jak potępieniec. Czwartej nie trzeba było szukać, sama wpadła do ręki. Z grzebalnego wrócił, jakby nigdy nic.

W chałupie wszyscy jak jeden głos: A gdzie ta Antek? Przecie pognał za tobą. Nie wim. Z gromnicą skrytą w sukmanu od wiatru chłopaki pognały do kostnicy. Pod ścianką we krwi od szkła leżał Antek pół-przytomny. Dowojował się. Cingim ino gadał MOJA. Raz o wydłużał, raz a albo jedno i drugie. Własne imię stracił. Po tym krzcie krwawym dostał od luda drugie: MOJA. Łaził po mogiłach i ludzi straszyl nawet za widaku.

— Kanonik pedali — wtrącił Łubek — że proboszcz, jakby tknięty palcem bożym, kości kazał pochować we wspólnym grobie. Kostnicę rozebrano. Prawie samo próchno, na nic, ino grabarzowi na ogień.

— Od mego ojca, co to baldakim nosił — pochwalil się Truška — za mały grosz dobrodziej kupili dwa kawały odzinka. Nie było co się targować. Przecie to posag dla nieboszczyków. Co ta ludzkie kości mają się nie pogrzebane wardać, jak u hycla na tatarskiej górze. Parafia parkanem nowy cmentarz ogrodzila i już mamy wieczny spokój.

— A do mego fatra, świeć Panie nad jego duszą, raz przyszedł Tomasz, którego już nikt Tumkiem nie nazywał, a ino jak dzieciaki: TO MASZ, za co sierdził się wielce. Przyszedł i przyciągnął pomyłęńca. Kazał mu uszyć buty jak się patrzy. Wyrychtował fater fajne, że nawet Kacior mógłby w nich paradować. Ot, takie, które dopiero co wypucowałem — tu buty błysnęły w górze nad wszystkimi chodzącymi po ziemi — Głupi Antek nie posiadał się z radości. O i a w taki przeszły podziw, że się od nich w organie pedał urwał. W zapamiętaniu chwycił się za głowę i zaczął nią kolebać jak pustym dzwonem. Buty jakby rzuciły urok. nie mógł od nich oczu oderwać. Za takie wyszycie butów siewcy potem wymyślali tacie. Przyszedł z tymi butami chudy, pomylony rok i prysły zarobki. Co tu gadać. Pewnego dnia o zmroku ktoś Antka tak zamalował pocięglem, że już nie znalazł innej rady, jak pójść na tamten świat. Buty ktoś skierował. Pochowali go w trupięgach. Jakby i tej parady było za wiele.

— Kanonik mówili, że go pochowali jak raz w tym samym miejscu, gdzie przedrzeźniał nieboszczyków. Może na wieczną pamiątkę, może przez przypadek. Bóg raczy wiedzieć.

— Ja tam Antka nie winuję — dorzuciła gospodyni — młody był, żarty go się imaly. Srodze za głupotę odpokutował. Myślę pod Zadaszki świeczkę na jego zarosłej mogiłce zapalić, żeby moich łobuziaków coś podobnego nie spotkało.

W tej chwili stary niczym kościotrup wysunął się z niszy. Podniósł rękę w górę i sięgnął po kaganek, co świecił na kapie. Zbliżył go na wysokość oddechu. Dmuchnął, aż się szyber od komina otworzył. W izbie zapanowała ciemność. Kiedy trzasnęła zapalka, ze starego zostały ino kapie. Kot także gdzieś czmychnął.

Nic więcej nie było widać, ino wielkie oczy.

MAŁA

„Głos Nauczycielski”, 1972, nr 186

Silaczką nie była i nie jest. Drobna, niepokazna. Smukła, prawie dziewczęca, sama o sobie mówiła MAŁA, bo taki przydomek, drugie imię, wyniosła jako najmłodsza z domu. Z matką, poza studiami wyższymi i krótkim okresem zawiedzionego małżeństwa, nigdy się nie rozstawała i jej śmierć tak boleśnie przeżyła, jakby to było zarazem pogrzebanie Małej. Dla podratowania nadszarpniętego serca przestała palić, odzyskała apetyt i przytyła, co z kolei na serce niezbyt korzystnie wpłynęło.

Serce po matce, a po ojcu, co się wcześniej zawinął, zagrożone płuca. Na świat przyszła, na przekór rodzicielce, w trudnych warunkach materialnych i na przekór sobie, nie bez przewrotnego humoru:

— Pchałam się na ten świat, sama nie wiem czemu. I to w jakim czasie? Na rok przed pierwszą wojną światową. Na wojnę prędzej syn, a nie córka. Stworzenie słabe i kruche.

Dzieciństwo dalekie, ukraińskie, w zamęcie wrzeń rewolucyjnych. Fronty wybuchały ze wszystkich stron. Ginęli ludzie od kul, padali dziesiątkowani przez głód i tyfus.

Potem powrót w strony rodzinne, prawie mickiewiczowskie. Mała, może dlatego, że mała, w natłoku, w popłochu zdarzeń, osłonięta czułymi ramionami, nie zginęła i dalej mogła pchać się do życia. Do wiosny, która w pamięci zakwitła bzami pierwszych imienin.

Na zabawy dziecięce czasu nie było. W poprzek stanęła szkoła. Nie w poprzek, tylko naprzeciw wyszła. Lata pełne wrażeń, niezapomniane. Lekcje, koleżanki, nauczyciele, figle mądrości, niebываłe pomysły. Odwet za dzieciństwo stracone, bez uśmiechu.